DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 16. MAJA 1841 Ner. 10. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Wielkie trzy dni przeminęły smutno w Paryżu, a dzienniki nie wielki wyniosły zapas nowości z tegorocznych przechadzek w *Longchamps*. Pierwszy dzień był dość piękny lecz zimny, bohatyrki mody musiały się dobrze otulać i niemiały sposobności zajaśnieć wiosiennemi strojami. Drugi dzień był wcale nicpotem, tak było zimno i słotno jak w grudniu. Trzeci nareszcie mimo wahającą się pogodę wywołał liczny świat modny, i w nim jedynie ocalała sława dni owych, które wyrokują o strojach na całe lato. Mnóstwo ludzi i powozów, elegantki i modnisie piesi, konni i pojazdowi wszystko było w ruchu.

Uderzały przedewszystkiem płaszczyki i kapelusze, i prawie wyłącznie je tylko widziano, jakkolwiek pod płaszczykami pod burnusami i ogromnemi szalami, znajdowały się prześliczne suknie z pracowni panny *Moismont*. Są one fulardowe z obcisłemi rękawami i czworobocznym stanikiem Przód sukni często jest trzema falbanami ozdobiony które dość wysoko podchodzą. Co do kapeluszów rzadko widziano ryżowe. Tylko w najpiękniejszą pogodę ujrzeć je można. Kapotki były liczne, odznaczały się najbardziej z liliowej krepy, ozdobione gałązką akacii lub trześni dzikiej. Widziano też kapelusze jasno niebieskie z powiewnemi piórami. Korunki i kwiaty odzyskały swoje prawa z tą piękną porą roku, a pani Seguin przecudnie zastosować je umie.

Stroje męskie. W prawdzie mało pokazało się fraków, jednak najnowsze mają u dołu szersze poły niż dawniej. Bywają rozmaitego koloru, panujący jednak kolor zielony. Widziano też na przechadzkach strój bardzo elegancki który się składał z niebiesko wioletowego fraka i takichże spodni; podajemy to za osobliwość albowiem nie noszono dotąd jednakowego koloru fraka i spodni prócz czarnych. Spodnie szerokie powszechniejsze są od obcisłych. Kamizelki kaszmirowe zapinane na dwie strony wielką mają wziętość; widziano także atłasowe zielone, granatowe lub wioletowe: ostatnie zwłaszcza zapinane na złote guziczki bardzo się odznaczają.

Ryciny dzisiejsze przedstawiają następujące stroje: dama pierwsza szlafroczek materialny z ubraniem szmuklirskiem. Kapotka jedwabna. Druga suknia z tarlatany, rańtuch kolorowy jedwabny szkocki i kapotka. Trzecia rycina przedstawia strój amazonki z materii zwanej: *drap de mouselin.* Frak do spaceru ciemnozielony o dwoch rzędach guzików, tudzież tużurek liberijny.

Pan Ryś.

Moi rówiennicy, których już niewiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu sławnego organistę Rysia; bo po dziśdzień w kościele ś. krzyża, co niedziela i święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem nieświeżkim, bo był piątym, czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta jego funkcia niezgorszym ka-

wałkiem chleba była uposażona. A kolędy? wszakże opłatki, które pod koniec adwentu rozwoził, zaczynając od Nieświeża, a kończąc na Kajdanowie, za nielada folwareczek stačby mogły. Expensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie, jak służka kościelny: to się zjadło co się na gruncie urodziło; a choćby i urodzaj chybił, od czegoż parafianie. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki za ich synów wydawali, tak, iż kiedy naszemu urodził się syn, xiąże chorąży, co go do chrztu trzymał, przez ceremonią słusznie żartem powiedział: ten chłopczyk kantyczkową nótą kwilić będzie, bo z miecża, jako i z kądzieli, samych tylko organistów w genealogii rachuje. Ale ten żart się nieuiścił. Wszystkie zabiegi ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nieprzydały. Choć od piątego roku życia już go zaczął poufalić z organami, choć przez dwa lata sypnął jakie tysiąc batogów, by napędzić ochoty do muzyki; ani jednej nóty Karolek nauczyć się nie mógł.

Gdy Karolkowi siódmy rok się skończył, Ryś sporządziwszy pozytywek dla xięcia chorążego, któremu imię było Karol, pojechał z synkiem, do Kajdanowa, w sam dzień świętego Karola, by go Karolek wręczył j. o. ojcu chrzesnemu, jakoby na wiązanie. Zajechawszy pod bramę, wysiedli oba z wózka i szli ku pałacowi, ojciec w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywkiem w ręku i pałasikiem u boku. Xiąże siedział u okna i patrzał na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zdążył, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi; a w tem Karolek rzuciwszy pozytywek, dobył szabelki i jak palnie żurawia po szyi, powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po sustawach i nie dziw; bo jeszcze na Litwie taki się niebył urodził, coby nie drżał przed xięciem chorążym, niewyjmując xięcia hetmana, lubo ten był jego bratem starszym i latami i urzędem. Cożdopiero miał czynić chudy pachołek. Ale xiąże wyszedł na ganek, za boki trzymając się od śmiechu: Zucha przywiozłeś do mnie, panie kolego. Dziękuję za pozytywek, ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawi. Sam widzisz, że on nie do klawiszów stworzony.

Xiąże miał czterech paziów, synów majętnych obywateli, ubogie Rysiątko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty i suty grosz; a Karolek tylko ubior z łaski xięcia dostając, niemiał ani szeląga przy duszy. Ale w krótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło: xiąże chorąży po obiedzie nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju, pilnując go, grywali sobie w *halbecwelwa,* żeby im czas schodził. Jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy. Otoż taką grę pustaki wymyślili. Paź stawi naprzeciwko Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów; kiedy Karolek wygra, pieniądze jego; kiedy skrewi, musi xięcia pijanego i sennego tyle razy po nosie kartą uderzyć, ile tynfów szło na kartę. Czas niejaki mu się udawało, ale jednego razu, gdy xiąże uderzony, przebudził się, sądny dzień zrobił się w Kajdanowie:

—Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? zapytał xiąże Karolka.

—Ja sam; odpowiedział niezmieszany chłopiec.

—Kiedy mi tak zuchwale odpowiadasz, obaczymy czyje będzie na wierzchu; i natychmiast kazał mu pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcie xięcia chorążego. Wprawdzie rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bolu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Xiąże, co był świadkiem exekucii, lubo z przyrodzenia twardego serca, powiedział: to niepospolite pacholę; a po skończonej kaźni, zapytał go niby łagodniej, chociaż taka łagodność przestraszyłaby niejednego: Zjakiego powodu, łotrze śmiałeś twojego pana znieważyć? Ten na to:

—Cożmiałem robić z biedy: wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja będąc chrzesnym synem xięcia pana, od czterech lat jak mu służę wiernie, jeszcze szeląga niedostałem. Xiąże natychmiast darował mu pięćset tynfów, właśnie tyle, ile łóz dostał i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szczutków ochronić.

W krótce wyrósłszy Ryś, został dworzaninem, a że był wierny, odważny, tęgo robił szablą i podkowy łamał, jak trzcinę, xiąże chorąży dla okazania, iż przeciw niemu sierdzistości w sercu nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę, wioseczkę nie wielką, ale z dobremi gruntami.

Ryś jednak nieprzestawał na dochodach swego folwarku, znaczne porobił długi, a wszystko na strój, bo był tak udatnym, że

nie można się było na niego napatrzyć. Nikt ani takich litych pasów, ani tak kosztownych szpinek, ani tak pięknych axamitów ani lam nie miał; nadzwyczajne przy tem miał szczęście do ludzi: zawsze będąc w potrzebie, ustawicznie prosił o pożyczenie pieniędzy, i zawsze ich dostawał; bo każdy, jakoby oczarowany prożbą dawał, nie pytając o ewikcię, choć miał długów więcej, niż włosów na głowie.

W Wilnie, gdy się trybunał litewski agitował, bawiła na opiece stryja, panna Kietliczówna, córka owego sławnego faciendarza, Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małoletniej swej jedynaczce. Onto w czasie siedmioletniej wojny dostarczając żywności wojsku, przez kraj ciągnącemu, więcej miliona zarobił. A ta córka była tak dobrze, jak zaręczona już panu Łapotowi. Ale jak ją poznał nasz Ryś, w krótce ją odkochał. I nie dziw, bo pan Łapot, acz zacny i godny kawaler, ale jedynak, w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka: wszystkiego się obawiał, lada wietrzyk, nie wychodził na podwórze, jeno z twarzą w pieluchy obwiniętą, a kiedy w piątek ryby zjadł odrobinkę, jużci nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna *hic mulier,* i bekasy w lot biła, i zająca zczwała co koń mógł wyskoczyć; istny dragan w spodnicy, a ztem wszystkiem urodziwa. Jakżeby ją było zprządz z panem Łapotem! Ryś z nią, to dobrana para, i dla tego też rychło tak się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei, pan Łopot odkosza dostał, i wyjechał z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, a tu z Rysiem była rzecz trochę ryzykowna.

Z początku miał zwyczaj pan Ryś, który tymczasem strażnikiem został, strzelać do korków żony; ale ona go od tego oduczyła, bo trafiła kosa na kamień. Razu jednego, gdy w sypialni, porwawszy za pistolety, zabierał się do korków jejmości, ona będąc wtedy brzemienną, powiedziała mu: Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mię uwolnił od twoich popisów. Idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijać, a moich korków niepsuj.

—Jeszcze ten raz ostatni, kochanko; pozwól wyprobować nowych pistoletów. Ale ta, porwawszy drugi pistolet, na skrzynce leżący i odwiodłszy kurek: słuchaj Karolku, mówi, jeżeli mi korek odstrzeliż, to ci natychmiast podobnym sposobem pas rozwiąże. Pan strażnik myślał, że żartuje: paf! do pięty jejmościnej w sam korek trafił; on z pistotetu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia. A jejmość, nie wiele myśląc, jak także palnie i rzeczywiście węzeł mu u pasa na brzuchu rozcięła. Pan strażnik pochwalił zręczność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z korkami.

Razu jednego z powodu bierzmowania xięcia Hieronima, którego xiąże, już na wojewodę posunięty, był bratem i opiekunem, gdy miała być uczta z tańcami w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Rys, bo wiedziano, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić, a modnisie nieświezcy starali się mieć to, co on na sobie. Ale starali się na próżno, bo zachowywał sekret najścislejszy, a niebyło sposobu jego szatnego podkupić, raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtóre, że go się obawiał, jak ognia. Otoż niewiem, jakim środkiem xiądz Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel xięcia Hieronima dowiedział się, ale w sam dzień bierzmowania, że pan Ryś, miał wystąpić na wieczorne tańce, w bótach z najpiękniejszego atłasu, które na sprzążeczce miały być ściśnione poniżej kolan aby mu gładko wyglądały z pod kusego kontusza. Namówić współzawodników w modnej wykwintości, aby w podobnym obuwiu wystąpili, było już za pożno; ale xiądz krotofilny robi mu następującą psotę. Między pokojową szlachtą xięcia wojewody, był p Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konzulów rzymskich wyprowadzający swoję precendencią; ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświeżkim z ordynacii, którą jej wyznaczył xiąże, zawsze protektor podupadłej szlachty. Pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej laffy, co ją jako pokojowy pobierał, a przytem, że miał piękną rękę, iż jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, pisywał supliki do xięcia od poddanych bojarów, żydów, i innych podwładnych, z czego także miał jaki taki przychód. Ale grosz grosza nie odpędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę, czem mógł, wspierał. Od kilku miesięcy jednak szły mu interesa pomyślnie, gdy xiąże upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu, aby xięcia Hieronima uczył formować charakter, przezco też codziennie miewał stosunki z xiędzem Szukiewiczem. Nietrudno było

namówić do figla dziewiętnastoletniego młodzieńca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował. Z namowy tedy xiędza Szukiewicza, kiedy goście domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne assamble, pan Scypion w przedpokoju między liberią schowany, z kwaczkiem w ręku i z garnkiem pełnym dziekciu, czatował na pana strażnika, jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś, z miną gęstą, cały lśniący się od złota i szkarłatu, jedna ręka oparta na karabeli, w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pieści kutas od czapki, łeb do góry zadarty. A tu przy podwojach pan Scypion kwaczkiem bryzg! bryzg! po bótach, że aż zrobiły się pstrokate. Pan Ryś nie wiedząc, co się z nogami stało, wali prosto do sali, tak oświeconej, iż jaśniej było jak wśrod dnia; wita się na prawo i na lewo i nisko skłoniwszy się xięciu, dalejże koperczaki stroić do dam. W tem słyszy koło siebie śmiech; niewie co to znaczy; aż siostra xięcia wojewody odzywa się: Mój strażniku, jakże od ciebie czuć dziekieć! Czy cię to na lepsze perfumy niestało. Pan Ryś zmieszał się nieborak, spuszcza oczy, i spojrzawszy na swoje bóty, z desperacii pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór dbał, jak o własną skórę i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła mu wychodzić niechciały. Nakoniec zawołał: kto mnie skrzywdził? A tu wszystkim jeszcze większy śmiech. Dopiero pan Ryś rozłóścił się bez miary i bóg wie, co wygadywał: Biada temu rzekł, co mnie obraził; z pod ziemi go wydobędę: Jeżeli to się zatai, to jakiem *sodalis,* choćby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, póki nietrafię na dziekciarza! W tem znikł ze sali. Ale nazajutrz począł robić kwerendy i niewiem, jakim sposobem dowiedział się, że to sprawka xiędza Szukiewicza i pana Scypiona. Z xiędzem niebyło sposobu, bo xiądz niedobędzie korda, którego nienosi; całkowitą więc złość wywarł na pana Tadeusza, i na dziedzińcu zamkowym spotkawszy go w obliczu prawie całego dworu, okropne wymówki jął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je z pokornem sercem i powiedział: ja sam to uznaję, żem młodszy starszego zbytnią konfidencią obrażając, podrwiłem głową, i zato najuniżeniej przepraszam. Odpuśćże mi panie strażniku swawolę dla miłości boga; a ja mu uszkodzone bóty odsłużę i odmodlę. Ale na to pan strażnik zapamiętały: Mnie nie o bóty chodzi, ale o śmiech ludzki, któryś na mnię ściągnął. Ja twoich modłów i posług niepotrzebuję, skoro mi odpowiesz. Ażem ci jej dotąd niewytarabanił, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod bokiem pierwszego senatora naszej prowincii, niechcę robić burdy. Ale życzę ci gałganie jak najdłużej trzymać się klamki xiążęcego dworu i z Nieświeża niewyjeżdżać; bo dzień, w którym przestaniesz być sługą xięcia wojewody, będzie wigilią dnia tego, w którym pięćset łóz dostaniesz. Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska ale szlachecka krew w jego żyłach krążyła: Jak ty śmiesz, odezwał się, łozami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Żeś się wzmógł fartuszkowym majątkiem, myślisz że ci wszystko wolno? A przypomniejno sobie, że twój ojciec karbował ci skórę przy organach, kiedy mój był namiestnikiem w kawalerii narodowej, gdzieby ciebie i na luzaka niebyli przyjęli. Otoż, żebym ci dowiódł, że twoje pogrożki lekce sobie waże, to lubo kawałka chleba niemam, zaraz xięciu panu podziękuję i ciebie zmuszę, byś mi stanął, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim. Ale jeżeli mi niestaniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moję sławę: tedy plac ostrzelam, ogłoszę cię po całej Litwie za infamisa i choć piechotą od zaścianka do zaścianka chodząc opowiem szlachcie, że zaufany w pieniądze, co bóg dał, lepszego od siebie szlachcica łozami straszysz, i w mojej osobie całą ubogą szlachtę krzywdzisz. Pan strażnik porwał się i ledwośmy przegrodzili od niego pana Tadeusza, który w istocie poszedł do xięcia, i upadłszy mu do nóg, opowiedział rzecz całą i podziękował za służbę, tłumacząc się, że dobra sława, która składa całkowitą jego ojcowiznę, niepozwala mu służyć xięciu, pokąd nie powetuje krzywdy.

Nietrudno było p. Scypionowi przekonać xięcia, dobrze ćwiczonego w szlacheckich prawidłach; najpiękniejsze mu świadectwo podpisał, kazał wyliczyć pare tysięcy, jako *deservita merces,* z zapewnieniem, iż o losie jego pamiętać będzie.

Pan Moniuszko, major w półku wielkiej buławy, był sekundantem pana strażnika; tenże z p. Borojszą, co sekundował Tadeuszowi, umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz na obszernem błoniu między Kleckiem a Dunajczycami. Wielu z nas udało się nato widowisko, po-

nieważ pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, byśmy byli świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, choć sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno; gdyby bronie obydwom spudłowały, szabla miała ostatecznie rzecz rozstrzygnąć.

Jak się zjechano, broń ponabijano, a zapaśnicy siedli na koń, jeszcze po raz ostatni usiłowali ich sekundanci pojednać; ale gdy oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich na 50 kroków. Za danym znakiem, obaj napaśnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli. Bitwa i przez jedno zdrowaś Maria nietrwała. Bo gdy bezskutecznie dawszy ognia z pistoletów, do pałasza się porwali; pan strażnik został draśnięty po ramieniu, jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew pana Tadeusza, ręka mu upadła z pałaszem na ziemię i on sam w kilka chwil omdlały z bolu, powalił się z konia. Wszyscyśmy przybiegli na ratunek z lekarzem, ledwieśmy śię go docucili, i zawieźliśmy go do Klecka, z obandażowaną raną na wyleczenie. Pan strażnik osiadł w Klecku u lekarza i póki trwała niemoc p. Scypiona, o krok go nieodstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pachołek; gdy nareszcie do zdrowia przyszedł (jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiemu szlachcicowi wszelki sposób do życia odjęło) zabrał go z sobą na wieś do swojej córki, tam go z nią zapoznał i po kilku tygodniach powiedział mu razu jednego: Słuchaj panie Tadeuszu, ja ci rękę odciąłem, a bóg widzi, że mojemi obiema chciał bym ci tę jednę wynagrodzić, bo krzywda twoja cięży mi na sercu, jak kamień młyński, ale przyjm w restytucii rękę mojej córki i zostań moim synem. Na to pochlebne oświadczenie padł do nóg przyszłemu ojcu i swojej narzeczonej, a za kilka niedziel został szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, i z budego pachołka, spadkobiercą jednego z zamożniejszych na Litwie majątków.

Or. N.

Piosnka kalabrijska. *)

Gdy mając lat pietnaście siadywałam w sadzie
Pod rozkwitłą cytryną, migdałem różowym,
Gdy świeża wiosna swoim oddechem majowym
Rozdmuchiwała loki spuszczone w nieładzie,
Głos jakiś mówił do mnie w głębi duszy skryty,
Tak luby że mnie roskosz przebiegała całą,
Nie byłto wiatr, ni dzwon był, ni drzewko szumiało.
Nie byłto głos dziecięcia, mężczyzny, kobiety;

Ale ty! ty nim byłeś mój stróżu aniele
Twe serce z mojem rozmawiało wiele.

Później gdy po wieczorze słodko pod morwami
Spędzonym, narzeczony odchodził odemnie
Kiedy ostatni całus brzmiał jeszcze przyjemnie
W sercu co żywiej biło pod jego rękami,
Głos podobny nie znikał długo z mojej głowy
Długo słyszałam w sercu ciche szczebiotanie,
I nie byłto głos jego ni jego stąpanie,
Ani echo z altany kochanków rozmowy;

Ale ty! ty nim byłeś mój stróżu aniele
A twoje serce z mojem rozmawiało wiele.

Jeszcze młoda, już matką, w domku mym do koła
Zgromadziłam okwicie opatrzności dary,
Figa na mój próg kładła w owoc strojne czoło
Gdy me chłopczyki gięli wiotkie jej konary;
Głos rozległy i czuły z piersi mi się wznosił,
Nie byłto spiew koguta, ni ptaszka w zaranie,
Ani w kolebce spiących dzieci oddychanie
Ani piosnka rybaków którą wiatr przynosił.

Ale ty! ty nim byłeś mój stróżu aniele
I twoje serce z mojem śpiewało tak wiele.

Dziś sama, białowłosa, starością przygięta,
Grzejąc nad ogniem ręce zmarszczone — wśród krzewów
Więdnących od burzliwych jesieni powiewów
Pilnuję kóz skaczących, patrząc na wnuczęta.
Przecie głos cichy w duszy słyszę bez ustanku,
Krzepi mnie i pociesza i zawsze mi śpiewa,
Nie jestto głos pieszczony dni moich poranku
Ni głos miłośny tego co w grobie spoczywa;

Ale ty! ty nim jesteś mój stróżu aniele
Twe serce mi zostało i z tobą łzy dzielę.

J. hr. D-B.

---

*) Lamartine który niniejszą pieśń przytacza w swojej rosprawie o poezii mówi: „co kobiety z Kalabrii spiewają o swoim aniele stróżu, ludzkość powiedzieć może o poezii. I poezia jest głosem wewnętrznym przemawiającym do niej w każdym wieku, która kocha, śpiewa, modli się z nią i płacze we wszystkich kolejach dożywotniej pielgrzymki.“ —

Pączek róży.

Powieść.

Na jednym z owych koncertów, na które się idzie dla zabicia czasu nie dla przysłuchiwania muzyce, znajdował się młody oficer, który w rzęsnym odblasku świateł łamiących się w zwierciadłach, marzył o słońcu, niebie i wiośnie pieszcząc się z pączkiem róży podanem mu ręką piękniuchną.

Byłożto wszystko co otrzymał? Historia resztę zamilcza.

Czy w jej woń rozkoszną mieszało się wspomnienie lub też nadzieja dla upojenia naszego bohatera? Mniejsza oto! nim się w to w tajemniczym, warto wprzód wiedzieć jego nazwisko. — Otoż ten młody strojniś był to Artiur bawiący od kilku miesięcy w Warszawie gdzie żył co się nazywa dobrze, korzystając z dostatków i młodości.

Przerwał mu to marzenie głos trwożliwy i błagający, głos kobiety która mówiła: Uczyń mi pan jedną łaskę. — Była to osoba w pewnym już wieku, a jej sposób znalezienia się odznaczał się dziwną prostotą.

—Mów pani śmiało, czem jej mam służyć?

—Mogęż pana prosić o tę różę.

—Przyznam się pani że to prawdziwa ofiara z mej strony, rzekł Artiur nieco zmieszany; — wszelako jeśli tak wiele pani na tem zależy.....

—Dziękuję! dobroć pana dodaje mi odwagi i śmiem go prosić, czy nie był byś pan łaskaw odprowadzić mnie do domu.

Ach! zawołała z wyrazem obrażonej godności: lituj się pan a nie gardź! Jam tak nieszczęśliwa. — Wzruszenie nie dało jej dokończyć.

Artiur spojrzał na zegarek: — Mam pół godziny wolnego czasu, czy dość dla pani?

—Dość proszę za mną, pójdę naprzód aby *ją* przygotować.

Po chwili weszli do porządnego domu. Stanąwszy na trzeciem piętrze prosiła go zatrzymać się w przedpokoju a w krótce otworzyła mu drzwi do pokoju, umeblowanego pięknie i nawet zbytkowo. Tu ujrzał Artiur swoją różę w ręku dziewczyny równie świeżej i pięknej, jak kwiat którego wonią z rozkoszą się poiła. Jej wdzięki były czarujące, uczuł to Artiur i przerywając to omamienie, rzucił wzrok badawczy na matkę.

—Oto osoba dla której pana trudziłam!

—Pani czem jej mam służyć?

Nie rzekła i słowa tylko pieszcząc się z piękną różą oddychała jej wonią.

—Darujcie panie, rzekł Artiur osłupiały, zdaje mi się że chciałyście zadrwić ze mnie, i wprowadziłyście mnie tutaj jak na maszkaradę; aleć dość już tych żartów...... To rzekłszy chciał się oddalić, gdy w tem dziewczyna, która dotąd milczała zrobiła poruszenie gwałtowne i rozognionym wzrokiem i silną rozkazującą postawą dała mu znak aby został.

Matka rzuciła się z płaczem do nóg Artiurowi: — Ten ruch rzekła powiedział panu to com mu wyjaśnić nie śmiała, okropna tajemnica wiadoma już panu! moja córka nieszczęśliwa, widzisz ją!...straciła zmysły!

Zadrżał Artiur.

Dziewczyna pojąc się wonią róży i widokiem Artiura zdawała się nierozumieć słów matki.

—O tak straciła zmysły! a pan jesteś mimowolną przyczyną jej obłąkania. — Często cię widywała... a tyś jej nigdy nie postrzegł, boś był zajęty osobą, u której moja córka przez całą zimę bywała. Z całego tłumu nikogo nie widziała prócz ciebie. Starałeś się o względy kobiety płochej, która miała próżność odbierać twoje hołdy, aby się pochwalić niemi przed drugą i obudzić jej zazdrość. Znajdywała więc roskosz, w opowiadaniu mej córce cudów twojej stałości i poświęcenia, a tem samem rozpalać do obłąkania jej wyobraźnię i rozdzierać jej czułe serce. — Te zwierzenia zrobiły na niej mocne wrażenie, zawróciły jej głowę i wzburzyły serce. Opuściły ją wszelkie zdolności, została jedna miłość. — Z początku nic nie wiedziałam o jej nieszczęściu, obym się była nigdy o tem niedowiedziała! — Czy wiesz pan co to jest przywiązanie macierzyńskie? jeżeli więc pojmujesz to nieograniczone samolubne uczucie jakiem jest miłość, przyznasz że nie masz nic w świecie, czegobym nie zrobiła, by ratować mą córkę....! Przekonawszy się że wszelkie starania i pomoc lekarzy były nadaremne, nie zważałam na przyzwoitość, odrzuciłam wszelki skrupuł, aby użyć jednego skutecznego środka do jej ratunku. Tyś był przyczyną choroby i ty ją tylko uleczysz. — Oh ileż mnie kosztowało przezwyciężenia, wstrętu, wykroczyć przeciw skromności i tej od dzieciństwa wrodzonej mi delikatności. — Wszystko musiało ustąpić miłości macierzyńskiej, a od tej chwili przyjęłam na siebie misię najdziwniejszą, jaka się kiedykolwiek zdarzyć mogła matce. Szukałam cię wszędzie, wszędzie ścigała,

przejętam była koniecznością spotkania ciebie, a nie śmiałam prosić o nic więcej, jak o tę różę.

—Pani ja tego z goła nie pojmuję, rzekł Artiur i mniemałem, że to jest jakiś podstęp.

—Ach! zawołała z oburzeniem matka na jakąż nędzną rolę skazana jestem? Jakto! myślisz pan że może się znajść inna jeszcze przyczyna, któraby skazywała matkę na takie poświęcenie, oprócz ratowania życia swego dziecięcia? Ach! wolałabym tysiąc razy rzucić się w ogień za nią, zrzec się własnej godności, i stracić szacunek u ludzi! Widzę teraz że moja córka ginąć musi!

Artiur, nie ruchomy, oniemiały, był odurzonym przez te kobiety. Zachwycająca piękność młodej obłąkanej, dobitne słowa rozpaczającej matki, zrobiły na nim wrażenie, z którego nie umiał zdać sobie sprawy.

—Nie lękaj się pan nas, mówiła matka, kochaj ją tylko albo przynajmniej wzbudź w niej tę wiarę; niech cię tylko widzi i słyszy, a to będzie dostateczne aby jej wrócić spokojność, i poda sposobność odzyskania jej zmysłów.

—Pani, rzekł Artiur wzruszony, lękając się więcej o siebie niż o nią, pół godziny już minęło, czekają na mnie, muszę odejść, i spojrzał litościwie na wariatkę, która mu zastąpiła ode drzwi.

—Ja wrócę, wrócę niebawem, mówił wymykając się, a głos żałośny rozległ się po pokojach które opuścił. Przyrzekł nie mówić nikomu o tem dziwacznem zdarzeniu, i już je w części zapomniał, gdy po ośmiu dniach spotkał tę samą kobietę pogrążoną w głębokim smutku.

—Pan nie wróciłeś, a moja córka umiera i ja z nią umrę! O pewno nikt nie zostanie aby ci robić wyrzuty, tylko przed własnem sumieniem uśprawiedliwić się musisz z postępku który ją o śmierć przyprawił.

—Pani wyznam ci że jestem w największym kłopocie, stosunki moje są takie że ani się mogę tobie poświęcić, ani być oszukańcą. Rzetelność moja i honor każą mi ci oznajmić, że dla tego tylko unikam twej córki, bo za mocne zrobiła na mnie wrażenie i boję się o dalsze skutki, mógłbym się w niej rozkochać, a to byłoby zgubne dla nas obojga. Muszę się stosować do woli moich rodziców i żenić się według ich wyboru.

—Ach zawołała matka w rozpaczy, niczego więcej od pana nie żądam, jak tylko takich kroków, któreby zostawiły ją w jej omamieniu i podawały żywioł jéj wybujałym marzeniom, którym się z taką szczerotą i niewinnością serca oddaje. O gdybyś widział jak ona z sobą walczyła, z jakim spokojem i ufnością oczekiwała cię w chwilach niektórych, gdybyś ją ujrzał teraz pogrążoną w cichej rozpaczy która mi serce przeszywa, zlitowałbyś się nad nią.

—Więc istotnie tak mocno cierpi? pytał Artiur. Służę więc pani; niech się co chce dzieje!.. .

Skoro dziewczyna postrzegła ulubionego, którego się już widzieć nie spodziewała, twarz jej rozpromieniała szczęściem. Utkwiła z anielską łagodnością obłąkany wzrok w Artiura i z dziecinnym uśmiechem rzuciła zwiędłą różę na ziemię mówiąc: — Ta róża była mojem nieszczęściem, bo mi przeszkadzała cię widzieć.

—Otóż! zawołała matka pierwsze jej słowa wyrzeczone bez płaczu.

(Dokończenie nastąpi.)

T e a t r.

5go maja przedstawiono obraz dramatyczny w 5ciu aktach pod nazwiskiem: *Joanna Montfaucon.* Aby o tej sztuce dać wyobrażenie dosyć powiedzieć, że jest Kotzebuego. Trąci zatem duchem romansów rycerskich a zawikłana intryga jest jej całą wartością. Wolimy zastanowić się nad grą ziomka naszego pana Haganowskiego, który tego wieczora po raz pierwszy przed publicznością wystąpił, i mówiąc bez przesady przewyższył nasze oczekiwania. Przedewszystkiem przypomnieć należy, iż kto u nas wstępuje do teatru, zyski go pewnie nie nęcą, czyni to z powołania. Ale oprócz talentów i upodobania potrzeba jeszcze i przyzwyczajenia. Widok tylu zgromadzonych widzów nie może początkowego niezamieszać. Z tego względu zasługuje p. Haganowski na wielkie pochwały, wystąpił śmiało jak gdyby od dawna urodzony w tym zawodzie, mówił wyraźnie, a w oddawaniu uczuć i namiętności przebijało się wszędzie zrozumienie myśli autora, przejęcie się rolą, którą umiał dokładnie, nie spuszczając się na suflera; co dla początkowego byłoby bardzo szkodliwem. W ogólności grał lepiej, jak niektórzy z dawnych aktorów tutejszego towarzystwa. Sowite oklaski zatem jakiemi go obsypała publiczność, niebyły tylko ku zachęceniu młodego artysty ale rzetelnie zasłużone. Ponieważ zaś w tym jak w każdym innym zawodzie najszkodliwiej wpływałyby zarozumiałość podżegana przez

pobłażanie wadom, i przesadzone pochwały; przeto wspomniemy otwarcie i o błędach gry jego; pewni, że postrzeżenia nasze mile przyjmie wyrozumiały nato, iż nikt od razu doskonałym niejest. Przedewszystkiem uważaliśmy, iż mówił z wielkim pośpiechem, nie jako człowiek swobodny który wprzód czuje i myśli a potem objawia; lecz jako ten który nauczywszy się cudzych uczuć i myśli, pewny że dobrze pamięta, śmiało powtarza. Wymowa jego przytem niebyła dość zaokrągloną, przyciskał czasami niepotrzebnie, przeciągał niektóre słowa za nadto, jestto wprawdzie prowincionalizm galicijski, ale na scenie powinienby się artysta zastosować do ogólnych zasad wymowy polskiej. Prawda iż żądanie to jest jednem z trudniejszych, wymaga ono wyższego ukształcenia, zgłębienia mowy ojczystej. Nareszcie często w chwilach gwałtownych uniesień, smutku i boleści, oblekała się twarz Haganowskiego miłym uśmiechem zwiastunem błogiego szczęścia. Pomimo tego wszystkiego, co z łatwością da się usunąć cieszymy się, iż teatr tutejszy zyskał w Haganowskim członka niewątpliwych talentów i pełnego nadziei, tem bardziej że sam, z wewnętrznego popędu, wprost z pomiędzy nas wystąpił na scenę i niebył w szkole dramatycznej, która niemoże udzielić niczego więcej, li tylko form pod jakiemi talent się objawia. *L. D-B.*

Rozmaitość.

W Swarżędzu w miasteczku o jednę milę od Poznania odległem, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Byłoto w jesieni 1806 r., kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy niemi ruchu, któren od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tem prócz pana burmistrza nie wiedział. Pod czas jarmarku dopiero, wyjawiła się u chrześcian pogłoska, iż żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że po za *kirkutem* (smętarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowy zachodzili ciekawsi, co by to znaczyło? bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, iż Napoleon cesarz francuzów, w Swarżędzu i w okolicach stojące pułki, osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do zieleńca.

Jestto młyn wodny w stronie ku Poznaniowi nad brzegiem wielkiego jeziora, u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarżędza czarujące, a istotnie z pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Po za karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas byłyby w stanie lichą artylerię zagłuszyć. Już wtenczas każden się mógł domyślić, że owa tajemnica żydowska, była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszej z południa, krzyknął na dachu siedzący szajgec: „*Er kyml, er kymt!*“ (jedzie, jedzie). Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku Napoleon. Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych jenerałów o strategiczne położenie Swarżędza, oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle z poza stajni wybiegł znaczny poczet turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, płaszcze, konie strojne rozmaitej barwy pokryciem, sznurami, piórami, pałasze, gdzie niedgzie piki i sztandar, nadawały tej jeździe szczególniejszy woienny i aziatycki charakter. Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich, nikt tego wypadku objaśnić nieumiał, w tem wysuwa się najprzód dowódzca jazdy tureckiej, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza, zdejmując z głowy turban, mówiąc: *Fürchten Sie nichts kajserliche Majestät! wir sind keine Türken, wir sind Szwerzencer Juden.* (Nie lękaj się wasza cesarska mość, myśmy nie turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie niemiał, odważne turki krzyknęły: „Wiwajt! wielki Cesarz Napoleon, niech żyje! jeszcze raz niech żyje!“ i powtórzywszy trzykrotnie „Wiwajt!“ usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuzcy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nieuśmiał. *B. W.*

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI DRUKIEM PIOTRA PILLERA.